

HARRIET ELIZABETH STOWE

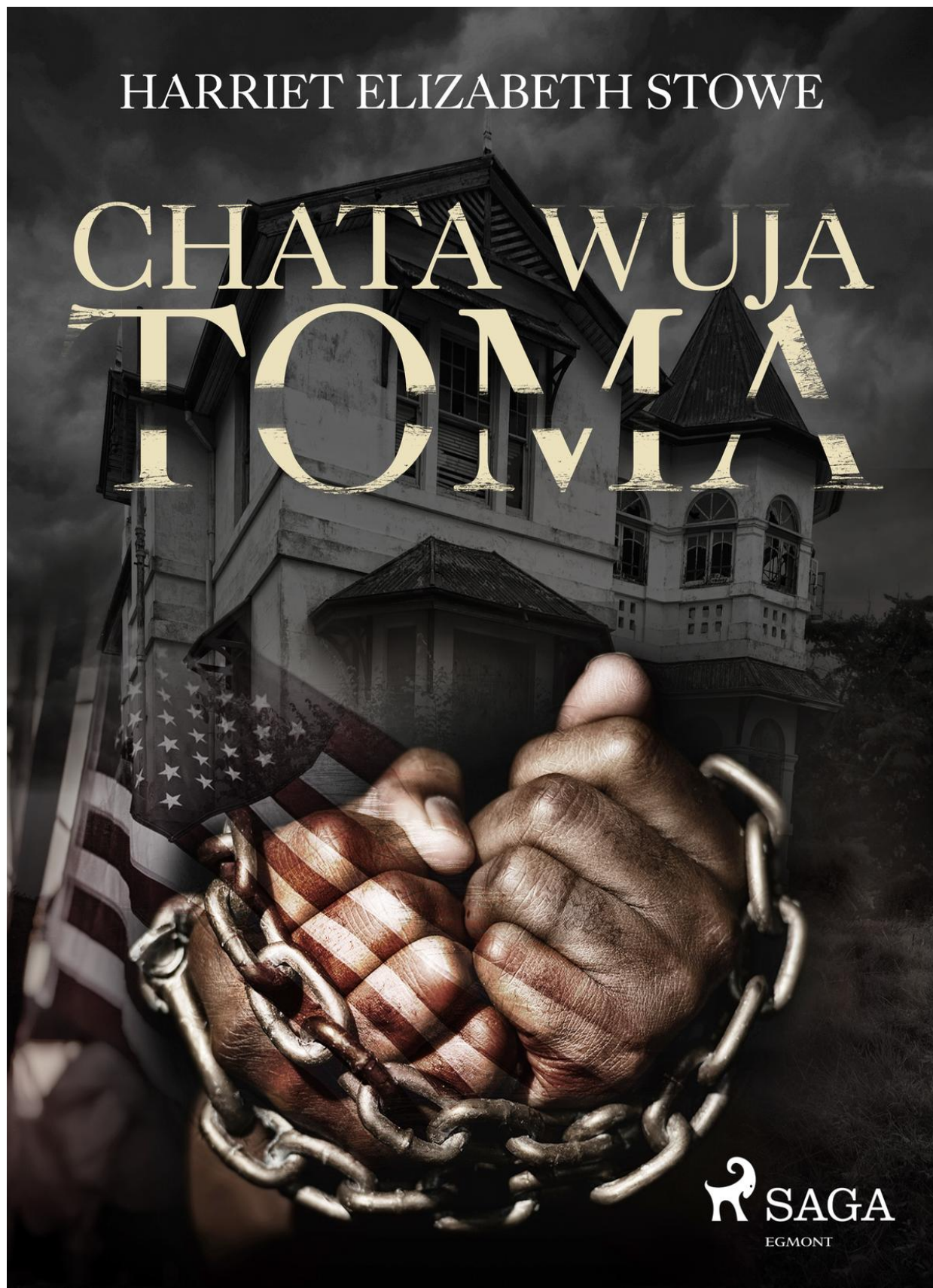
CHATA WUJA TOMIA



 SAGA
EGMONT

HARRIET ELIZABETH STOWE

CHATA WUJA TOMIA



 **SAGA**
EGMONT

Harriet Elizabeth Stowe

Chata wuja Toma

Saga

Chata wuja Toma

przełożył

Anonim

tytuł oryginału

Uncle Tom's cabin

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów z których pochodzi.

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright © 1852, 2019 Harriet Elizabeth Stowe i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726322835

1. Wydanie w formie e-booka, 2019

Format: EPUB 2.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą SAGA Egmont oraz autora.

SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ I

W KTÓRYM CZYTELNIK ZAWIERA ZNAJOMOŚĆ Z PRAWDZIWIE HUMANITARNYM CZŁOWIEKIEM

O zmierzchu któregoś dnia zimowego, w mieście P. w stanie Kentucky dwaj dżentelmeni siedzieli przy butelce wina w dostatnio urządzonej jadalni, omawiali ważną zapewne sprawę. Nawiasem mówiąc, powyższe określenie stosuje się jedynie do jednego z tych panów, drugi bowiem był raczej przeciwieństwem dżentelmena. Niski i krępy, o grubej twarzy, nacechowanej bezczelnością i napuszoną brutalnością, sprawiał wrażenie osobnika spod ciemnej gwiazdy, gbura, przepychającego się łokciami przez życie. Ubiór jego był dostosowany do twarzy: kamizelka grała wszystkimi barwami tęczy, błękitny krawat, luźno związany, był upstrzony ciemnymi punkcikami, na grubych palcach skrzyły się liczne pierścienie, a ze złotego łańcucha zwisały mnogie grona breloków, które potraçał nieustannie, z upodobaniem przysłuchując się dźwiękom. Mowa jego była brutalna, naszpikowana usterkami i gminnymi, czasem ordynarnymi wyrażeniami.

Natomiast drugi pan, mr. Shelby był dżentelmenem w każdym calu. Dom ten należał do niego i świadczył o dobrym smaku i luksusowych przyzwyczajeniach gospodarza.

- Zapewniam pana, że Tom jest wyjątkowym człowiekiem
- mówił gospodarz - i wszędzie dano by mi za niego tę cenę. Jest niezwykle zdolny i uczciwy. Prowadzi moje

gospodarstwo wzorowo i regularnie jak mechanizm zegarowy.

- Uczciwy? O ile Murzyn może być uczciwy? - odparł szyderczo mr. Halley i dolał sobie wina do szklanki.

- O nie, powiadam panu, że niebywale uczciwy i religijny. Jego pobożność wzmogła się szczególnie pod wpływem misji wędrownej, która odwiedziła nasz kraj cztery lata temu. Ufam mu bezgranicznie i nieraz powierzałem mu odpowiedzialne i pieniężne zlecenia. Nigdy nie zawiódł zaufania.

- Niektórzy ludzie nie chcą wierzyć, aby Murzyn mógł być naprawdę szczerym chrześcijaninem - odezwał się Halley - a ja w to wierzę. Niedawno nawet nabyłem taką gratkę za psie pieniądze, bo wytargowałem ją u jegomościa, który miał nóż na gardle i płótno w kieszeni. No i zarobiłem na czysto sześćset dolarów. Dobry był numer - a jużci. Na ogół religia jest dobrą rzeczą u Murzyna. Sęk w tym, że rzadko się spotyka prawdziwą religię!

Przeważnie grają komedię.

- A ja panu powiadam, że Tom nie udaje. Niedawno wysłałem go do Cincinnati po pięćset dolarów. Po drodze kuszono go: "Uciekaj Tomie do Kanady!" - "Nie" - odpowiedział - "Nie mogę tego zrobić, gospodarz ma do mnie zaufanie". Przykro mi się z nim rozstać... Ale do rzeczy. Dam panu Toma i basta. Jeśli ma pan odrobinę sumienia, to zadowoli się pan Tomem.

- Ja, mr. Shelby, sumienia mam akurat tyle, ile powinien mieć kupiec! A w ogóle z dobrym człowiekiem jestem skłonny do ustępstw, ale cóż robić, czasy nastały takie ciężkie!...

Słowo daję okropne czasy!

Westchnął ciężko i znowu napełnił szklankę.

- No, niechże pan powie ostatnie słowo, Halley! - odezwał się Shelby po krótkim milczeniu.

- Czy nie ma pan no, bodaj jakiegoś chłopca lub dziewczynki na dobitkę?

- To znaczy... widzi pan, nie mógłbym się nikogo teraz pozbyć. Prawdę mówiąc, zdecydowałem się sprzedać któregoś z niewolników tylko dlatego, że mnie warunki materialne zmuszają. Nie lubię rozstawać się z niewolnikami. Tak jest, mój panie.

W tej chwili drzwi otworzyły się cicho, i na progu stanął ciemny chłopczyk cztero – lub pięcioletni. Był wyjątkowo ładny. Czarne, połyskujące jak jedwab, miękkie włosy, rozkosznymi kędziorkami okalały przepiękny owal dziecięcej, smagłej twarzy. Spod gęstych i długich rzęs spoglądały błyszczące, czarne jak agat, łagodne i wesołe oczy. Nosił ubranko z żółtego i pąsowego aksamitu; w kolorze tym było mu bardzo do twarzy. W ruchach jego była jakaś komiczna, dziecięca pewność siebie, właściwa wszystkim pieszcz ochom.

- A! Harry! Proszę bardzo! – zawołał mr. Shelby – Chwytaj!

Podrzucił do góry szypułkę winogron. Chłopczyk podskoczył i zręcznie złapał owoc.

Gospodarz roześmiał się. Przywołał chłopca i pogłaskał go po głowie.

- A teraz, pokażesz temu panu, że umiesz tańczyć i śpiewać.

Chłopczyk zaśpiewał dziką i dziwną pieśń murzyńską, uzupełniając melodię komicznymi ruchami nóg, rąk i całego ciała, znakomicie dostosowanymi do jej rytmu.

- Chwacki chłopak! – zawołał mr. Halley, rzucając mu kawałek pomarańczy.

- A teraz Harry pokaże, jak chodzi dziad Cujoy, kiedy dokucza mu reumatyzm – rzekł mr. Shelby.

W tej chwili figura chłopczyka zmieniła się nie do poznania: z garbem na plecach, opierając się na lasce,

Harry pokuśtykał po pokoju, zataczając się i potykając o różne przedmioty.

Obaj mężczyźni parsknęli niepohamowanym śmiechem.

- Hurra! Brawo! Co za szelma! - krzyknął mr. Halley. - No interes ubity!

Podniósł się i położył dłoń na ramieniu mr. Shelby.

- Biorę tego chłopca i sprawa załatwiona!

W tej chwili drzwi otworzyły się cicho i do pokoju zajrzała młoda, może dwudziestopięcioletnia niewolnica. Z pierwszego wejrzenia można było przyjąć ją za matkę małego Harry'ego. Miała takie same połyskujące włosy, takie same oczy i rzęsy. Zarumieniła się gwałtownie, czując na sobie cyniczne spojrzenie mr. Halley'a. Była bardzo zgrabna. Jej subtelne ręce i piękne nogi nadawały jej szczególną wytworność.

- Przepraszam - rzekła z zakłopotaniem - Przyszłam po Harry'ego.

- Jeśli chcesz, zabierz go ze sobą - odpowiedział mr. Shelby.

Skorzystała z pozwolenia skwapliwie. Wzięła chłopca na ręce i szybko wyszła z pokoju.

- Towar, paluszki lizać! - zawołał Halley - Przysięgam na Jowisza, to istny skarb! Z taką dziewczyną może pan wzbogacić się w Nowym Orleanie! Widziałem, jak płacono tysiące za gorsze okazy.

- Nie zamierzam bogacić się w ten sposób - odpowiedział sucho mr. Shelby. I aby zmienić temat, odkorkował nową butelkę, nalał mr. Halley'owi i zapytał go, jak mu smakuje wino.

- Pierwsza klasa! - zawołał mr. Halley, klepiąc swego rozmówcę po ramieniu, i dodał obcesowo: - No, niech pan powie, ile pan żąda za tę dziewczynę?

- Nie jest do sprzedania, mr. Halley. Moja żona nie może się bez niej obejść. Nie sprzedałbym jej na wagę złota.

- Kobiety nie umieją rachować. Niech no pan pokaże im, ile można kupić brylantów, piór i złotych zegarków za złoto wagi najdroższego im człowieka, a zobaczy pan, inaczej zaśpiewają!... Jestem gotów założyć się! Naprawdę!

- Nie, Halley! Nie warto o tym mówić. Skoro powiedziałem, że nie, to rzecz skończona!

- W takim razie niech mi pan da chłopca. Zdaje się, że na to zasłużyłem?

- Ale na co panu chłopiec? Co pan z nim pocznie?

- Mam przyjaciela, który się tym zajmuje. Jego specjalność to ładni chłopcy. Wie pan, to towar dla amatorów. Poszukiwany w bogatych domach. Pański diabełek będzie się bardzo nadawał.

- Nie chciałbym go sprzedać! - odpowiedział w zamyśleniu gospodarz. - Widzi pan jestem człowiekiem humanitarnym. Nie lubię odrywać dzieci od matek.

- Rozumie się, rozumie się! Nawet bardzo, że tak powiem, zrozumiałe!... Te baby od razu w bek, lament, krzyki, spazmy!... Myśli pan, że sprawia to komu przyjemność? Trzeba się do tego zabierać umiejętnie, że tak powiem... Ot wyśle pan matkę na tydzień - co? - i wszystko pójdzie jak z płatka. Zanim wróci, już po harapie! A potem małżonka szanownego pana podaruje jej jakieś kolczyki albo różne drobiazgi, no i uspokoi się baba.

- Mój Boże! Co też pan mówi, mr. Halley.

- Co tam, to nie są nasze białe kobiety! Wszystko zależy od tego, jak się do nich zabrać!

Powiadają na przykład, że od handlu niewolnikami serce czerstwieje. Wcale tego nie uważam! Chodzi o to, że ja nie postępuję tak jak inni. Widziałem takich, co to odrywali dzieci od matek przemocą i z miejsca sprzedawali. Matka krzyczy, płacze, rozpacza... I co w tym dobrego? Podły system, powiadam panu! To tylko psuje towar! Widziałem w Nowym Orleanie dziewczuchę - można śmiało powiedzieć -

piękna! No i co? Zmarnowali ją, właśnie wskutek tego systemu. Idiota, który ją kupił, chcąc pozbyć się jej dziecka, oderwał je siłą... Popatrzaliby pan na nią... Rozwścieczona jak prawdziwa biała matka. Miotła się, krzyczy, huczy, przeklina – aż strach było patrzeć... Jednak dziecko zabrali. A ona wzięła i zwariowała, i po tygodniu wyciągnęła kopytka!... Kto stracił? Właściciel. A dlaczego? Dlatego, że nie był ostrożny! Nie ma o czym mówić! Zawsze lepiej być ludzkim, humanitarnym. Przekonałem się z własnego, że tak powiem, doświadczenia! Po krótkiej przerwie, rozsiadłszy się w fotelu i skrzyżowawszy ręce, pełen zadowolenia z siebie i zarazem udanej skromności, ciągnął dalej:

– Rozumie się, nie należy siebie samego chwalić, ale mówię dlatego, że to święta prawda, że tak powiem... Zdaje się, powszechnie wiadomo, że nikt nie ma tak wspaniałych partii Murzynów, jak, ja... Wszyscy moi niewolnicy są dobrze utuczeni i zdrowi i umiera ich znacznie mniej, niż u innych. A cały mój sekret polega na tym, że ja z nimi obchodzę się po ludzku. Tak, muszę powiedzieć, że humanitarność jest podstawą mego interesu!

Mr. Shelby nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Naturalnie! – mruknął niepewnie, przerażony bezczelnością handlarza.

– Trzeba panu wiedzieć, że kpiono ze mnie za to... Takie poglądy nie są w modzie, ale ja, mój panie, dam sobie za nie głowę odrąbać! Wszak im to zawdzięczam majątek! No tak!

Mogę powiedzieć, że moje myśli dobrze mi zapłaciły za wyprodukowanie.

Halley roześmiał się, uważając koncept za nader dowcipny.

W zapewnieniach tego człowieka było tyle bezczelności i osobliwego nonsensu, że mr. Shelby nie mógł się powstrzymać i parsknął śmiechem.

- To dziwne - kontynuował gość, zachęcony śmiechem gospodarza. - Nie mogłem przekonać swoich kolegów. Miałem takiego jednego, pracowałem z nim do spółki. Zręczny był facet? Tylko względem Murzynów istny diabeł! Uważał, że tak powinno być, bo poza tym nie znałem lepszego nad Toma Lokera człowieka.

Powiadam czasem: "I po co tłuc murzynki po łbie, kiedy płaczą i tęsknią? Co ci z tego przyjdzie? Jaki pożytek? Niech sobie wyją, ani cię to ziębi, ani grzeje. Taka już ich natura! Walisz je, a one brzydną i chorują, i tracą na wartości! Wierzaj mi, że ludzkie traktowanie, że tak powiem, bardziej popłaca! Jemu na głowie kołki ciosaj - nie pomoże! Napsuł mi pięściami tyle towaru, że zerwałem z nim, chociaż kuta była bestia na wszystkie nogi i serce miał złote.

- I uważa pan naprawdę, że pański system jest lepszy?

- O panie! Trzeba tylko dobrze wytresować Murzyna, a wówczas to można z nimi robić, co się żywnie spodoba.

- W takim razie przypuszczam, że moi Murzyni są źle wytresowani.

- Możliwe. Wy tu, w Kentucky rozpieszczacie Murzynów, a to im tylko na szkodę wychodzi. Weźmy takiego, na przykład, negra. Pan Bóg po to nieboraka stworzył, aby przechodził z rąk do rąk, aby dziś można go było spławić Tomowi, jutro Dickowi, a pojutrze - lichu wie komu. I nie należy w nich wpajać przeróżnych tam fantazji, nadziei, bo to tylko pogarsza ich sytuację. Dlatego też powiadam, że lepiej wyszliby na tym pańscy Murzyni, gdyby pan traktował ich tak, jak na innych plantacjach...

W milczeniu obaj wyłuskiwali orzechy. Wreszcie odezwał się Halley.

- No i co pan postanowił?

- Poradzę się żony. Niech pan przyjdzie między szóstą a siódmą.

Handlarz niewolników pożegnał się i wyszedł.

- I ja nie mogę spuścić tego łotra ze wszystkich schodów!
- z głuchą rozpaczą myślał mr. Shelby - gdyby mi dawniej powiedziano, że będę zmuszony sprzedać Toma jednemu z tych przeklętych handlarzy niewolników, odpowiedziałbym: czy jestem gorszy od psa?! A jednak to konieczne! Tak, konieczne! A synek Elizy? I ile przykrości doznam od żony!... O, te długi! W stanie Kentucky sytuacja niewolników była o wiele lepsza niż gdzie indziej. Spokojne, regularne gospodarstwo rolne nie wymagało tej gorączki pracy, która była konieczna w stanach południowych. Gospodarze zadowalali się skromniejszym dochodem i nie zapominali całkowicie o interesach swych bliźnich.

Na widok różnych scen, objawiających rozczulającą wierność niewolników, oddanych swym panom całą duszą, liczni podróżnicy poddawali się urokowi wskrzeszonych legend czasów patriarchalnych. Niestety, nad wzruszającymi scenami poszczególnych sielanek unosił się upiór groźnego prawa. Póki prawo uważało Murzynów za rzecz, będącą nieograniczoną własnością pana, póki ruina, nieostrożność białego gospodarza mogła zmusić niewolników do przejścia od spokojnego i względnie szczęśliwego życia pod opieką humanitarnego właściciela do życia pełnego udręki, niehumanitarnego mozołu i ostatecznej rozpaczki - póty hańba straszliwa plamiła sumienie ludzkości.

Mr. Shelby był dobrym i troskliwym gospodarzem. Ale wskutek nieudanych spekulacji finansowych zabrnął w długi. Weksle jego znalazły się w rękach mr. Halley'a, który pragnął z tego ciągnąć jak największe korzyści.

Eliza, podchodząc do drzwi, usłyszała, jak mówiono o sprzedaży Murzynów. Chciała postać chwilę i podsłuchać, ale w tej chwili zawołała ją gospodyni. W każdym razie zdawało się jej, że napomykano o jej synu. W przerażeniu przytuliła chłopca do piersi i pobiegła do pani Shelby.

- Elizo, co się z tobą dzieje? - zapytała mrs. Shelby, zdziwiona wyjątkową niezręcznością i roztargnieniem niewolnicy.

- O, wielmożna pani! W jadalni pan rozmawiał z kupcem... Czy pan zgodzi się sprzedać mego Harry'ego?

- Ależ nie, Elizo! Co za głupstwa! Wiesz, że pan nie sprzedaje niewolników, jeśli jest z nich zadowolony. Zresztą komu potrzebny twój Harry?... Przestań płakać i ubierz mnie. Czy ja bym pozwoliła! Jesteś naprawdę przesadna, gdy chodzi o twego synka. Ktokolwiek do nas przychodzi, od razu myślisz, że przyszedł zabrać Harry'ego.

Słowa mrs. Shelby uspokoiły Elizę. Miała bezgraniczne zaufanie do swej pani, która słusznie słynęła z rozumu, podniosłych zasad, wrodzonej szlachetności i religijności. Pani Shelby w istocie nie okłamywała jej. Wierząc w dobroć męża i nie znając jego kłopotów finansowych, nie posądzała go o haniebne zamiary sprzedania niewolników.

ROZDZIAŁ II

MATKA

Elizę wychowywała sama pani Shelby. Dlatego uchodziła w tym domu za pupilkę. Jak większość mulatek miała czarujący wdzięk, grację ruchów i miękki pieszczotliwy głos; naprawdę oślepiającą urodę łączyła z zaletami pięknego i szlachetnego charakteru. Wychowana starannie w dobrych zasadach, uniknęła licznych demoralizujących pokus, które gubią większość ładnych niewolnic.

Mąż jej – Jerzy Harris – był pięknym silnym i bardzo pracowitym niewolnikiem. Przez jakiś czas pracował w fabryce worków, gdzie wkrótce zajął przodujące stanowisko. Wynalazł nawet maszynę do trzepania konopi. Niebywale zdolny, zjednał sobie ludzi wdziękiem swych manier, osobliwym urokiem nieprzeciętnej osobowości. A jednak był rzeczą, tylko rzeczą swego srogiego właściciela, który nie omieszkał skorzystać z praw własności. Zwiedziwszy pewnego razu fabrykę, w której Jerzy pracował, obejrzawszy jego wynalazek, pod wpływem jakiejś tępej zazdrości odebrał go z fabryki, mimo gorących próśb i namów dyrektora, i zmusił do ciężkich robót polnych. Sam Jerzy nie miał nic do powiedzenia, musiał słuchać, zaciskając zęby i poskramiając swój gniew i rozpacz.

Elizę poślubił jeszcze za szczęśliwych czasów pracy w fabryce. Przez dwa pierwsze lata widywali się bardzo często i nic nie zakłócało ich szczęścia, prócz śmierci dwóch niemowląt, które zmarły wkrótce po urodzeniu.

Dopiero okrutny kaprys właściciela, za jednym zamachem zniweczył ich szczęście i nadzieje na lepszą przyszłość.

Jerzy nie widział przed sobą nic prócz ciężkiego trudu, okrutnych zniewag i nędzy. Gospodarz i jego synalek bili go, znęcali się nad nim i szukali sposobów coraz okrutniejszych pogłębienia jego niedoli. Nienawidząc rodziny Shelby, właściciel Jerzego krzywym okiem spoglądał na jego małżeństwo z Elizą i wreszcie postanowił go ożenić z własną niewolnicą. Wprawdzie małżeństwo z Elizą było uświęcone przez Kościół, ale wszak Murzyn jest tylko rzeczą, której nie dotyczą sakramenty białych. Powściągając swój gniew do czasu, Jerzy postanowił w najbliższym czasie uciec do Kanady i zwierzył się ze swego planu Elizie. Upatrywał ratunek jedynie w ucieczce do kraju, gdzie nie ma niewolnictwa.

ROZDZIAŁ III

WIECZÓR W CHACIE WUJA TOMA

Chata wuja Toma była niewielką z desek skleconą przybudówką do domu właściciela. Do chatki przylegała działka ogrodu, bardzo starannie utrzymywana. Wzdłuż fasady wiły się pędy ogromnej pąsowej begonii i pełzającej róży, przykrywające gęstym listowiem nieociosane deski przybudówki.

Następuje wieczór. W “domu” jest już po kolacji, więc ciotka Chloe, pierwsza kucharka na folwarku, spieszy do chatki, aby przyrządzić wieczerzę, własnemu mężowi. Twarz ciotki Chloe jest czarna, błyszcząca, jak pierogi jej kucharskiego kunsztu, i z bezgraniczną dobroduszością wygląda spod zalotnego turbanu.

Kucharka była z niej znakomita, oddana swej pracy całą duszą i całym sercem. Nie było gąski, ani indyczki, która by nie zadrżała na jej widok od łap do czubka, w przeczuciu bezsławnej i przedwczesnej śmierci. Na próżno inni adepci sztuki kulinarnej głowili się nad sekretem nieskończenie urozmaiconych pierogów – arcydzieła jej kunsztu. Brała się do pracy z istnym natchnieniem zwłaszcza, gdy trzeba było wydać proszony obiad. Czyniła to z wielką satysfakcją i z wewnętrznym zadowoleniem, i zawsze cieszyła się szczerze na widok gości. Szeroka izba była urządzona bardzo skromnie.

W jednym kącie stało łóżko, przykryte śnieżno białą pościelą, obok na podłodze leżał dywanik. To uświęcony zakątek ciotki Chloe i nikt nie śmiał tu wtargnąć bez jej

pozwolenia. W drugim kącie – drugie mniej paradne łóżko. Na ścianach obrazy, ilustrujące historię świętą, i portret generała Washingtona.

Na skleconej z desek ławce siedzą dwaj chłopcy, o czarnych puciołowatych twarzach, kędzierzawych włosach i płomiennych oczach. Z uwagą przyglądają się pierwszym nieudanym próbom chodzenia, niespełna rocznego niemowlęcia. Na wprost kuchenki stoi stary, kulawy stół, przy którym siedzi wuj Tom, prawa ręka mrs. Shelby – Murzyn herkulesowej budowy, o wysokim i szerokim torsie, kulistej głowie i spokojnym, poważnym obliczu rasowego Afrykanina. Uderza w nim jakiś swoisty stop godności osobistej z pokorną i wzruszającą prostotą.

Uważnie spogląda na tablicę, na której kreśli ogromne litery pod dyktando trzynastoletniego syna dziedzica, Jerzego.

– Nie tak, wuju Tomie – poprawia Jerzy – U ciebie wychodzi nie “b”, lecz “w”.

– Istotnie? – pyta wuj Tom, z bezgranicznym szacunkiem patrząc na chłopca.

– Jak to biali wszystko robią łatwo! – odezwała się ciotka Chloe z dumą zerkając na Jerzego. – Serce się raduje, gdy młody panicz przychodzi wieczorami uczyć nas mądrości.

– Ale teraz jestem strasznie głodny, cioteczko Chloe – odpowiedział chłopiec – Czy placuszki prędko będą gotowe?

Chloe już po chwili rzuciła na talerzyk wspaniały, zarumieniony i pachnący placek i nałała do talerza doskonałej zupy.

Po kolacji ciotka Chloe nakarmiła dzieci, umyła najmłodszą dziewczynkę, posadziła ją na kolanach ojca i zaczęła sprzątać ze stołu. Chłopcy zaś biegali wkoło Toma i Jerzego, wydając ogłupiające, dzikie okrzyki. Swawolili nie zwracając uwagi na groźby matki, póki nie ogarnęło ich

zmęczenie. Wówczas ciotka Chloe rozstawiła składane łóżko i zawołała:

- Piotr, Mojżesz do łóżka! Dziś odbędzie się u nas zebranie.

- Mamo, nie chce się nam spać. Pozwól i nam słuchać. To takie wesołe!

- Złóż łóżko z powrotem - wstawił się Jerzy - i pozwól im posłuchać, o czym rozprawiają starsi.

- No, niech i tak będzie - zgodziła się Murzynka.

- Na czym oni będą siedzieć? - narzekała ciotka Chloe, sprząając izbę. - Od iluż to lat odbywają się każdej niedzieli mityngi u wuja Toma, a nigdy nie ma na czym siedzieć. Czyniąc zadość zafrasowanej gospodyni wtoczono do pokoju dwie beczułki, napełniono je kamieniami i nakryto deszczułkami. Przewrócono również do góry dnem kilka kadzi, parę dużych drewnianych wiader i naprawiono niepewne stołki.

Niebawem chata wuja Toma zapełniła się gromadką ludzi różnego wieku, poczynając od siwego osiemdziesięcioletniego starca i kończąc na wyrostkach. Z początku gwarzono o tym i owym. Następnie zaczęły się śpiewy. Intonowano może gęgliwie, ale z prawdziwym uczuciem, psalmy o brzegach Jordanu, o ziemi Chanaańskiej i o Nowem Jeruzalem. Niektórzy nawet śmieli się i płakali ze wzruszenia, jak gdyby już widzieli przed sobą Ziemię Obiecaną. Następnie Jerzy Shelby odczytał dwa rozdziały Pisma Świętego. Wychowany w duchu religijnym, teraz zaś zachęcony uwagą słuchaczy komentował święte teksty, a czynił to z taką wymową i tak rozumnie, że zyskał pochwały młodych i błogosławieństwa starszych słuchaczy. Lecz za prawdziwy autorytet w sprawach religijnych uchodził wuj Tom. Wyróżniał się między rodakami przyrodzoną moralnością i niepospolicym, jasnym i tęgim umysłem. To też w tym gronie uchodził

niejako za kapłana, za najlepszego nawet z kapłanów. Tym razem modlił się tak żarliwie i przemawiał tak namiętnie i wymownie, że słuchacze płakali z zachwyty i wzruszenia.

Tymczasem w "domu" mr. Shleby i mr. Halley przeglądali uważnie jakieś dokumenty.

- Wszystko w porządku - orzekł w końcu handlarz niewolników - brak tylko pańskiego podpisu.

Mister Shelby podpisał ze skwapliwością człowieka, który chce czym prędzej pozbyć się niemiłej sprawy.

- Interes ubity! - wołał mr. Halley chowając dokumenty do teczki i podnosząc się ociężale.

- Tak, interes ubity - powtórzył w zamyśleniu gospodarz i pożegnawszy mr. Halley'a, zaciągnął się mocnym cygarem.

ROZDZIAŁ IV

PODSŁUCHANA ROZMOWA

- Arturze - zapytała mrs. Shelby swego męża - ktoś to był u ciebie?

- Niejaki Halley - odpowiedział z zakłopotaniem mr. Shelby.

- Czy handlarz niewolników?

- Dlaczego tak sądzisz, Emilio? - zapytał mr. Shelby, niespokojnie spoglądając na żonę.

- Mówiła mi Eliza. Przyszła do mnie zrozpaczona i twierdziła, że siedzi u ciebie handlarz niewolników i chce kupić jej chłopca. Powiedziałam jej, że chyba oszalała.

- Tak, Emilio - odezwał się po chwili mr. Shelby, gdyż postanowił od razu wyjaśnić męczącą sytuację. - Nigdy bym dotychczas nie przypuszczał. Ale jestem w tak okropnym położeniu, że nie mam innego wyjścia i muszę sprzedać któregoś z naszych ludzi.

- Sprzedać?... I temu osobnikowi?... To niemożliwe!...

- Niestety, tak, sprawa już załatwiona... Sprzedałem Toma...

- Toma? Tego dobrego i oddanego całą duszą człowieka, który służy u nas od dzieciństwa?... Ale wszak przyrzekłeś go wyzwolić... O Boże wielki! Teraz mogę uwierzyć we wszystko, w to nawet... że potrafisz sprzedać małego Harry'ego, jedyną pociechę jego matki, mojej biednej Elizy!

- Masz słuszość - odpowiedział z mimowolną goryczą mr. Shelby - sprzedałem również Harry'ego... Zresztą cóż dziwnego? Wszyscy dookoła codziennie niemal sprzedają i

kupują niewolników i nikt nie patrzy na nich jak na potworów moralnych – jak ty teraz na mnie.

– O, Boże, nie chodzi o sam fakt sprzedaży, ale o tych, których sprzedałeś. Czy nie mogłeś wybrać innych?

– Nie mogłem. Za nich płacono mi najwięcej... Owszem, za Elizę chcieli mi dać tyle, ile za Toma i Harry'ego razem. Ale znając twoje przywiązanie do tej dziewczyny, odmówiłem.

Przeto proszę cię, abyś mnie nie sądziła zbyt surowo.

– Wybacz, mój przyjacielu. Jestem tak oszołomiona i zmartwiona, że sama nie wiem, co mówię. Ale czy nie można inaczej poradzić? Ja osobiście gotowa jestem wyrzec się wielu rzeczy. Nie, to chyba niemożliwe! Oderwać Toma od tego wszystkiego, cośmy go sami nauczyli czcić i kochać! Pozbawić Elizę dziecka i skazać ją na przedwczesną śmierć z rozpacz?

– Ach Emilio, wierz mi, ja sam cierpię głęboko, ale nie mogłem inaczej postąpić. Nie wtajemniczałem cię dotychczas w nasz stan majątkowy. Muszę ci wyznać, że groziła nam zupełna ruina, że gdybym nie sprzedał Toma i chłopaka, musiałbym sprzedać dom i całe gospodarstwo. Halley miał moje weksle i mógł mi dyktować warunki. Spieniężyłem wszystko, co mogłem, zadłużyłem się nawet, ale i tego było mało.

Mrs. Shelby nie odpowiadała. Ukryła twarz w dłoniach i cicho jęczała.

– Przekłęte niewolnictwo! – rzekła wreszcie. – A ja, naiwna, wyobrażałam sobie, że można to zło przemienić w dobro.

– Emilio, zdaje się, że stajesz się abolicjonistką.

– Abolicjonistką? O gdyby wszyscy abolicjoniści tak znali niewolnictwo jak ja, to inaczej by jeszcze mówili! Jaka szkoda, że nie mam innych klejnotów, prócz tego złotego

zegarka. Gdybym mogła ocalić małego Harry'ego, oddałabym wszystko, co posiadam.

- Niestety, nic już się nie da naprawić. Jutro rano Halley przyjedzie po swą własność. Ja wyjadę wcześniej... nie będę mógł patrzeć na uprowadzenie Toma... Radzę ci wyjechać również z samego rana z Elizą do sąsiadów. Lepiej będzie, jeśli nie zobaczy.

- O, nie, nigdy w życiu! - zawołała mrs. Shelby - Nie porzucę biednego starego Toma. A Eliza? Co się z nią stanie! Za jakie grzechy spotyka nas tak ciężka kara!

W sąsiednim pokoju stała Eliza i podsłuchiwała. Przeczuwała prawdopodobnie, że o niej toczy się rozmowa.

Kiedy mrs. Shelby umilkła, Eliza, blada, drżąca, po cichu wycofała się z pokoju i wróciła do siebie. Na łóżku leżał Harry i uśmiechał się błogo przez sen.

- Biedne dziecko moje! - szepnęła matka - sprzedano cię! Ale nie bój się, mój miły chłopczyku, uratuję cię!

Na arkusiku papieru szybko nakreśliła kilka zdań:

"Droga pani! Niech mnie pani nie uważa za niewdzięczną. Słyszałam pani rozmowę z panem. Muszę uratować swe dziecko; nie bierzcie mi tego za złe. Niech panią Bóg wynagrodzi za dobre serce".

Napisała adres, po czym związała w węzełek bieliznę i ubranie syna. Ubrała się prędko i obudziła chłopczyka.

- Cicho, Harry - rzekła - zły człowiek chce przyjść i zabrać mego małego Harry'ego. Ale ja nie pozwolę, aby cię zabrano; i wolę sama z tobą odejść, uciec od złego człowieka.

Otuliwszy się chustą, wzięła go na ręce i cichaczem przez werandę wyszła z domu. Noc była świeża, jasna i gwieździsta. Eliza zatrzymała się przed chatą wuja Toma i lekko stuknęła do okna.

- Kto tam? - rozległ się głos Chloe, która po chwili uchyliła zasłony. - Ach, mój Boże, to Eliza! Tom, wstawaj

prędko! Eliza przyszła.

Tom zerwał się z łóżka i zapalił świecę, która oświetliła blade i znękaną oblicze Elizy.

- Uciekam - z trudem chwytając dech, szepnęła Eliza. - Nasz pan sprzedał moje dziecko!

- Sprzedał! - zawołali z przerażeniem małżonkowie.

- Tak - odpowiedziała Eliza - Słyszałam jak pan mówił do pani, że sprzedał mego synka, a także ciebie, wuju Tomie... sprzedał handlarzowi, który jutro rano po was przyjedzie...

Murzyn z ciężkim jękiem osunął się na stołek i spuścił głowę na piersi.

- Boże, ratuj nas nieszczęsnych! - krzyknęła ciotka Chloe. - Nie mogę uwierzyć! Cóż złego uczynił Tom, że pan sprzedał go handlarzowi?

- Nic złego - odparła Eliza. - Pan nie chciał go sprzedać, a pani, powiadam wam, to istny anioł... Błagała, wstawiała się za nami, ale pan powiedział, że to było konieczne, bo inaczej handlarz zabrałby mu cały dom i gospodarstwo. Nie powinnam uciekać, ale muszę.

1 Abolicjonizm - ruch polityczny w Stanach Zjednoczonych Ameryki, który dążył do zniesienia niewolnictwa.

- Tomie, a ty dlaczego nie uciekniesz? - zwróciła się ciotka Chloe do męża. - Uciekaj z Elizą, póki czas. Idź prędzej, zbieraj się. Dam ci coś na drogę i idź z Bogiem!

Tom podniósł głowę, rozejrzał się wkoło, po czym rzekł ze smutkiem ale stanowczo:

- Nie, nie ucieknę. Niech ucieka Eliza. To nawet jej powinność, jeśli chce ustrzec dziecko od zagłady. Ale słyszałaś, co mówiła. Jeśli ja ucieknę, to handlarz wyzuje mego pana z całego majątku. Nie, nie wystawię mego pana na zgubę. Jest niewinny i nie zasługuje na wymówki.

Jestem przekonany, że nie zapomni o tobie i o naszych dzieciach.

Odwrócił się, spojrzał na czarne kędzierzawe główki; oparł się o grzbiet krzesła i ukrył twarz w dłoniach. Głuche łkanie wstrząsnęło jego potężnym ciałem i łzy przez palce stoczyły się na podłogę.

- Widziałam się dziś wieczorem z mężem - rzekła Eliza. - Powiedział mi, że nie zniesie już niewoli, i że wkrótce ucieknie. Zawiadomicie go o mnie... Powiedzcie, że postaram się dotrzeć do Kanady. Że kocham go całym sercem i że, jeśli nie przeznaczono nam się widzieć, to...

Przez kilka chwil walczyła ze łzami. Opanowała się wreszcie i dodała:

- Powiedzcie mu, aby nie grzeszył, abyśmy mogli bodaj po śmierci spotkać się w Królestwie Bożym...

Jeszcze kilka słów i łez, błogosławieństw i westchnień, i oto młoda mulatka, tuląc do siebie zdziwionego chłopczyka, bez szmeru wysunęła się z chaty Toma.